

1.

Na eweńskie sanie trzeba wskakiwać szybko, najczęściej w biegu, zwłaszcza jeśli jedzie się w zbiorowym zaprzęgu, w którym powiązanych jest jeden za drugim kilka pojazdów i tyleż ciągnących je par reniferów. Te ruszają z kopyta i w mgnieniu oka można znaleźć się pod ich nogami, a potem pod płozami sań. Wprawdzie reny to zwierzęta skoczne i w biegu zadziwiająco lekkie, ale też impulsywne, trudno poddające się kierowaniu. Nierzadko jadący musi najpierw przebiec obok nich kilkaset metrów, by wdroiły się do truchtu w określonym kierunku, podczas gdy one uparcie zawracają, chcąc wrócić do stada, z którego zostały odłowione. Sztukę szczególnie narowistą trzeba tego oduczać, waląc ją z całej siły kulakiem w pokrytą długim włosiem klatkę piersiową. Najbardziej odporne są osobniki mieszanego, dzikodomowego pochodzenia. Jesienią, w czasie rui, zdarza się, że do samic z wypasanego stada podchodzi dziki samiec z tajgi. Z zostawionego przezeń potomkażytek będzie niewielki: nie chce chodzić w zaprzęgu, ucieka na swobodę. Zresztą takie powroty do natury zdarzają się też osobnikom niby to oswojonym. Stado jest w ciągłej fluktuacji, bo renifery to w gruncie rzeczy zwierzęta nie do końca udomowione. Przez noc pasą się w tajdze, w ciągu dnia są dwu- lub trzykrotnie przyganiane na krótko w poblize obozowiska, by uniknąć zupełnego ich rozproszenia i pogubienia. Ich związek z człowiekiem jest ostatnio jeszcze słabszy, niż był dotąd. Otóż prawie wcale się ich nie doi, choćby z braku kobiet w pasterskiej brygadzie, złożonej z samych tylko młodych mężczyzn, podczas gdy kobiety, dzieci i starsi żyją w osadzie odległej o kilkadziesiąt lub kilkaset kilometrów od stada i jego koczowisk. Nic zatem dziwnego, że warstwa udomowienia, cywilizacji jest dziś na renach szczególnie cienka. Pytanie, czy to samo w jakiejś mierze nie odnosi się również do ludzi.

Kontakt eweńskich pasterzy z kulturą jest poniekąd okresowy. To, co odbywa się w tajdze, przy stadzie, można nazwać gołą egzystencją. Przebiega ona w grupie kilku mężczyzn, kiedyś stanowiących brygadę. Dziś w miejsce tej starej, po komunistycznemu bojowej nazwy weszła zresztą nowa, przyjęta w „Unitarnym Przedsiębiorstwie Państwowym” (tak przechrzczono większość dawnych sowchozów): podstawowa grupa wraz ze zwierzętami nazywa się jeszcze dosadniej – stado.

Stado siódme, w którym jesteśmy, to niespełna trzysta reniferów, brygadier – czterdziestolatek Stiepan – i trzech młodzi, dwudziestoparoletni: Kola, Anton i Timur. Czasem któryś pójdzie w tajgę na polowanie na dzikiego rena – mięsa starczy na tydzień, nie trzeba będzie zabijać sztuki ze stada. Mieszkają w brezentowej pałatce, która wyparła już wszędzie dawny, kryty skórą namiot – *czum*. W niej śpią, gotują i jedzą, wy-

ETNOLOG W PODRÓŻY (6)

JERZY S. WASILEWSKI

Smutek Arktyki w masce święta, w szamańskim kostiumie

konują drobne prace gospodarcze i naprawcze, słuchają radia, grają w karty – tej listy aktywności nie da się zanadto przedłużyć. Czasem któryś zagada coś do pozostałych w zborsuczoną rosyjskim (Kola nie mówi po eweńsku, bo ma ojca „Gruzina” – w ten delikatny sposób daje się do zrozumienia, że splodził go jakiś niezupełnie zidentyfikowany przyjezdny). Wieczorami można się wzajemnie postraszyć opowieściami o niedźwiedziu, który potrafi dokonywać przerażających ataków nawet na ludzi przy domowym ogniu.

W niektórych takich obozowiskach jest jeszcze etatowa *czumrabortnica* – gospodyni-kucharka, jedyna kobieta w tym towarzystwie. Wszystkie inne, młode i stare, żyją w osadzie. Są przy dzieciach, niektóre pracują w administracji albo w szkole, inne prowadzą jakiś sklepik, łapią się dodatkowych prac, na przykład uszyją komuś *unt*y, zimowe buty ze skóry zdjętej z goleni łosia lub renifera, części najbardziej odpornej na wilgoć.

Takie buty nie są tanie: latem trzeba za nie dać dziewięć tysięcy rubli, czyli ok. tysiąc złotych, a kto się spóźni z zamówieniem, ten zimą zapłaci i dwanaście tysięcy, przyciśnięty koniecznością. Od stycznia do początków marca mrozy będą dochodzić do minus sześćdziesięciu stopni i tylko w miejscowym obuwiu da się wytrzymać. Mogą to być też filcowe walonki albo prawdziwie myśliwskie *torba*za, nader wygodne, bo luźne i miękkie, nie tylko miękkością wyprawionej na zamsz skóry, ale i zostawionym na niej futrem, stanowiącym wnętrze buta. O ich wartości przekonuję się w trakcie jazdy w prawie czterdziestostopniowym mrozie połowy marca. W moim markowym obuwiu alpinistycznym, mimo dwóch par grubych skarpet (a może właśnie z ich winy – krew w tak ściśniętej stopie ma utrudnione krążenie) wytrzymuję tylko cztery godziny, po czym muszę ratować się przed odmrożeniem, zmieniając je na *unt*y.

Sanie Ewenów są niższe niż ich pobratymców Ewenków, więc siedzi się blisko ziemi, z lewą nogą wyciągniętą przed siebie, podczas gdy prawa, opuszczona z niedbałym szykiem, spoczywa na płozie, by w razie

potrzeby stabilizować pojazd albo hamować. Trzeba tylko uważać, by nie trafiła między kamienie czy gałęzie. Saniom nic się nie stanie – mają niezbędną giętkość, którą zapewniają im rzemienie, łączące ze sobą również elastyczne brzożowe pręty oraz deski wyoszczonego skórą siedzenia.

Reny, nie zwalniając tempa, przeskakują ponad zawałami – wywróconymi w czasie wiosennych powodzi drzewami, które wmarzły w lód i teraz tarasują drogę. Naszym traktem jest bowiem rzeka zamarznęta do dna, co umożliwia komunikację. To paradoks Syberii: siarczyste mrozy i śniegi, gdzie indziej będące przeszkodą w transporcie, tu umożliwiają łączność. Ogromne obszary są podmokłe i błotniste, bo leżą na wiecznej zmarzlinie, a te na niżu mają do tego niewielki stopień nachylenia. Dlatego latem są z reguły nieprzejezdne – nawet wierzchowy renifer pod prymitywnym, niepewnym siodłem nie gwarantuje długodystansowego transportu: zbyt często zdarzają się upadki z jego grzbietu w błoto. Jako że pomniejsze rzeczki są zbyt płytkie dla łodzi, trzeba czekać, aż zamarzną, tworząc *zimniki*, którymi będzie mógł ruszyć cięższy transport. Wielkie, takie jak Lena, stają się na czas od listopada do maja szlakami i mostami dla najcięższych maszyn oraz lotniskami dla samolotów. 20, 30, 40 ton – kolejne komunikaty określają dopuszczalne obciążenie lodowej pokrywy, jesienią w porządku rosnącym, na wiosnę w malejącym. Ale dwa okresy pośrednie, *ledostaw* i *ledochod*, kiedy to lód jest jeszcze zbyt słaby lub już niepewny, a kry wykluczają użycie łodzi i promów, oznaczają zupełne przecięcie komunikacyjnych arterii na wiele tygodni.

Do siódmego stada jechaliśmy najpierw po lodowej tafli Tompo (dopływu Aldanu, który z kolei wpada do Leny), w górę rzeki, by wkrótce skrócić w jej dopływ Sach, a potem jeszcze w głąb potoku Chulania. Rzeki te wiją się wśród szczytów Gór Wierchojańskich, które teraz, w marcu, wyglądają jak osypane cukrem, z powitykanymi w środkowych partiach zapalkami drzew, przechodzącymi u podnóży w gęstszą, burą szpicinę tajgi. Jej prawie wyłącznie modrzewiowy drzewostan jest o tej porze roku praktycznie bezbarwny, koloru nie dodają też nadbrzeżne smugi topoli i wierzyby koreańskiej, na której łuszczą się krótkie, wyschłe na wiór paski kory.

Punktem wyjścia była osada Topolinoje, położona w połowie odległości między Leną a Kołymą, dwa dni drogi od Jakucka – siedemset kilometrów, z czego większość po dobrze przeprowadzonym, gładkim w ziemie jak stół magadańskim trakcie. Budowali go w latach czterdziestych więźniowie GUŁagu, wyściełając nie tylko modrzewiem, ale i swymi martwymi ciałami; resztki otoczonych drutem kolczastym baraków bez skrępowania znaczą tę drogę do dziś. Łagrowy rodowód to grzech pierworodny większości tutejszych osad.

2.

„Smutek Arktyki”, to oczywiście formuła zapożyczona, i to podwójnie: tytuł klasycznej pozycji strukturalizmu sprzed półwiecza w ten właśnie sposób przetworzył przed laty profesor Dynowski, zbierający się stale i bezskutecznie do spisania wspomnień ze swych młodzieńczych podróży po Syberii, Dalekim Wschodzie i Północy. Bo syberyjska Północ już w tamtych czasach, przed stu laty, robiła na przybyszu przygnębiające wrażenie. Beznadzieja egzystencji w żalosnych, oddalonych od świata osadach, pijaństwo mężczyzn i apatia kobiet, na próżno wypatrujących kandydata na męża – niechby i przelotnego – wśród rzadkich przybyszów, kupców czy marynarzy, uzupełniających ograniczoną lokalną pulę kandydatów, co dałoby szansę wyjścia poza chów wsobny (i może jakieś błyskotki, podarki, jeśli na rzecz patrzyć nie w kategoriach interesów gatunkowych, genetycznych, lecz osobniczych, ekonomicznych).

Dzisiaj role się poniekąd odwróciły: to mężczyźni na próżno wypatrują kobiet – kandydatek na żony. Nastąpiło bolesne rozszczępienie resztek rdzennej kultury i lokalnych społeczności na część produkcyjną, pasterską, męską, koczującą w tajdze i pozaprodukcyjną, kobiecą, osiadłą. „A która chciałaby tu przyjść i żyć w pałacie?” – odpowiada retorycznym pytaniem Anton, kiedy pytam go o perspektywę żeniaczki. No tak, one mieszkają w osadzie niewielkiej wprawdzie, ale noszącej w oficjalnej nomenklaturze miano „typu miejskiego”, z takimi jego wykładnikami jak kilka bloków mieszkalnych, drewnianych, ale piętrowych, nie dość że z bieżącą wodą (leci wszędzie z kranów przez całą dobę, bo inaczej zamarzłaby w rurach), to jeszcze z toaletami w mieszkaniu, co przy tych mrozach ma niemałe znaczenie.

Usadowione w otwartym miejscu, nad rzeką, na tle gór, Topolinoje nie razi brzydotą, co może zdziwić, jeśli widziało się takie poławagrowe miasteczka jak Chandyga czy Batagaj. Tam odczuwałem wrażenie, że budujący je i żyjący w nich skazańcy nienawidzili tych miejsc i mszcząc się na nich za swoją tragedię dokładali starań, by wyglądały jak najgorzej: zeszepecone koszmarną infrastrukturą rozpadających się rur i kominów, zabłocone i niemożliwie zaśmiecone wszelkimi odpadkami, po sowiecku byle jakie i zdewastowane. To zresztą jeszcze przedradziecka specyfika. Wacław Sieroszewski, zesłany do Wierchojańska w latach 80. XIX wieku, opisuje w czarnych barwach tę osadę w autobiograficznej powieści *Ucieczka*, tyle że ukrywa ją przez uprzejmość pod nazwą Dżurdżuj. Można by pomyśleć, że to jakaś fikcja, groteskowa przesada. Ale kiedy w powieści pada nazwa Morze Gnoju, jaką zesłańcy obdarzyli wielki staw zajmujący do dziś centrum osady, to wiem – po ubiegłorocznym tam pobycie – że czytelnik dostaje najszczerzą praw-

dę geograficzną bez żadnego zmyślenia. Okropieństwo, doprowadzające do skrajnej rozpacz. To tu już na trzeci dzień po przyjeździe popełnił samobójstwo młodziutki student z Petersburga skazany za udział w zamachu na cara. Zostawił list do matki i powiesił się na Baranuckiej Górze, po drugiej stronie rzeki Jan-y, co do dziś wspominają mieszkańcy, jakby nieświadomi tego, że jest to najgorsze w historii świadectwo wystawione ich małej ojczyźnie.

Topolinoje dopiero niedawno wkroczyło w fazę zauważalnego kryzysu. Przedtem, za rządów lokalnego satrapy, stanowiło siedzibę pokazowego sowchozu, skupiającego eweńskich pasterzy renów. Staraniem owego wpływowego dyrektora zbudowano tu nawet kombinat hodowli świń (dziś oczywiście w ruinie), do którego pasza – produkowana gdzieś w Europie – była dostarczana helikopterami... Taniej byłoby pewnie dowozić gotowe obiady z najlepszych kalifornijskich restauracji, ale przecież nie rachunek ekonomiczny wtedy decydował. Pasterze mieli za wszelką cenę produkować mięso, którego brakowało dla robotników w zakładach wydobywających cynę, złoto, diamenty... Stada reniferów osiągały wielkość nieznaną w przeszłości i ten nienaturalny stan jest dziś wspominany jako „tradycyjny obraz gospodarowania”!

Obecnie, gdy gigantomania minęła, bo nie ma środków na jej finansowanie, ci którzy pracowali w jej chorobliwym ideologicznym czadzie, stracili sens życia. Pasterze są w stanie zupełnej frustracji: na ich produkt nie ma prawdziwego rynkowego zapotrzebowania, skoro amerykańskie kurczaki („nóżki Busha”) kosztują połowę tego, ile musi kosztować mięso rena, by jego producent mógł przeżyć. Ta rąbanka nie ma zresztą dobrej marki u jakuckich gospodyń. A komu potrzebne są dziś skóry czy rogi? Nawet *panty* – młode, ukrwione poroże, przedtem sprzedawane do Chin i na Zachód z przeznaczeniem farmaceutycznym – nie znajdują już odbiorcy.

Gdzie widzieć pocieszenie i sens życia? Czym rekompensować sobie wyrzeczenia i trud bytowania w skrajnie trudnych warunkach tajgi? Jak zachować zdrowie psychiczne, żyjąc miesiącami bez kobiet, w oddaleniu od rodzin – bo helikopter nie przywiezie już w tajgę dzieci po szkole, jak to bywało w dobrych czasach. Co może robić chłopak w osadzie pełnej bezrobotnych rówieśników, poza *szabaszką* – jakąś dorywczą pracą czy usługą dla sąsiada? Jak bronić młodych przed alkoholizmem, który doprowadza do tyłu nożowniczych bójek kończących się śmiercią? Jak odwozдить od samobójstw młodych ludzi, którzy widzieli – w telewizji, w wojsku – zgoła inny świat, i wiedzą, że nigdy się w nim nie znajdą? *Triste Arctique*, zaiste.

Czy zatem na naszych oczach odchodzi w niebyt trwająca od tysięcy lat aktywna symbioza człowieka i renifera? Może tak, skoro nie uwzględniają jej żelazne reguły światowej ekonomii, nie ma dla niej miej-

sca w systemie skutecznych subsydiów, nie będzie kontynuacji wiedzy i doświadczenia pasterskiego przy sztucznym, brygadowym systemie pracy, gdzie rozbity zostaje przekaz rodzinny i kontakt pokoleń.

No i ta plaga samobójstw. Wiadomo, to problem całej Arktyki, nie tylko poradzieckiej. Uczestnicząc w debatach zachodnich antropologów tego obszaru w ramach projektu Boreas spotykałem się z wyspekulowaną hipotezą, że jednym z czynników ułatwiających decyzję o samobójstwie jest tradycyjna wiara w reinkarnację; takie opinie bulwersowały mnie, ponieważ wiem, że było ono zawsze traktowane ze zgrozą, kończyło się nietypowym, hańbiącym pochówkiem, samobójca miał przeradzać się w upiora itp. Tak – myślę teraz – ja to wiem, ale czy wiedzą dzisiejsi młodzi kandydaci na samobójców? Czy mają jakąś znajomość tych spośród dawnych treści wierzeniowych (opowieści, obrzędów), które odwoływałyby ich od strasznego zamiaru? Przecież w głowach zostały tylko marne ich resztki, może więc mgliste wspomnienie wiary w reinkarnację rzeczywiście pozwala im widzieć w samobójstwie nie tylko doraźną ulgę, ale także jakąś nadzieję?

3.

Zadaniem święta jest dostarczanie sensu. Wbrew realiom, wbrew temu, co widać gołym okiem, ma ono przekonać, że hodowla reniferów ma przyszłość, że władze wysoko cenią trud pasterzy, że kultura ludowa Ewenów ma się dobrze. Kwietniowy Dzień Pasterza Rena jest typowym świętem biurokracji, bez uzasadnienia w tradycji, ale przecież ma tę tradycję okresowo ożywiać. Gospodynie wyciągają więc pochowane stroje, które imitują dawne. To nic, że większość z nich – cienkie skórzane kurtki, zdobione haftem – nie nadaje się na zimę. Nakłada się je dwa razy do roku, następnym razem w czerwcu, w czasie święta narodowego, a ściślej republikańskiego, wywodzącego się z jakuckiej tradycji *Ysyachu*. Renifery też dostaną ozdobne, poobszywane koralikami popręgi, czasem z r dzieckimi jeszcze symbolami.

Przemówienia, odznaczenia, gratulacje. Zawracanie kijem rzeki Tompo: rocznicowe wspomnianie dyrektora – bohatera pracy socjalistycznej, nostalgia za okresem świetności, gołosłowne napominanie, żeby utrzymywać ducha tamtej epoki. Wreszcie akcja przenosi się z salonów władzy lokalnej na gładką powierzchnię zamrożonej rzeki za osadą, gdzie obok oficjalnej areny każda brygada – teraz już wzmocniona o kobiety z osady – postawiła swoją pałatkę, w niej przyjmuje odwiedzających i częstuje ich wszystkim, co ma najsmaczniejszego. Wczoraj, dziś i jutro występują w domu kultury amatorskie zespoły pieśni i tańca, miejscowe i przywiezione z innych ulusów. Pokazują etniczność odświeżoną, kostiumową, choreograficzną.



Fot. 1 Wyścigi,
Fot. Lech Mróz



Fot. 2 Radzieckie symbole,
Fot. Lech Mróz



Fot. 3 Na saniach,
Fot. Lech Mróz

Oczywiście, występy swojaków, zwłaszcza małych dzieci, cieszą widzów i nie mam poczucia zupełnego braku autentyczności. A jednak przypomina mi się masowa sztuka ludowa, taka jaką widziałem w Jakucku w warsztatach jubilerów, którzy na nowoczesnych maszynach tłuką „ludową” srebrną biżuterię, mówiąc na tę produkcję lekceważąco: *nacionalka*.

Siebia pokazać' i liudej posmotret' – ta ogólnorosyjska dewiza przyświeca i temu świętu. Każdy nakłada na siebie najlepszą, odświętną maskę, usiłując pokazać się od najlepszej strony. Urzędowy optymizm władzy pozwala zapomnieć o marnych perspektywach. Bardzo tego potrzebują zwłaszcza ci w brygadach, więc pojeżdżali tu po miesiącach izolacji. Dla tych, co koczują 400-500 kilometrów dalej, nieobecność mogła trwać nawet pięć lat. Święto daje nadzieję na poznanie dziewczyny, na ożenek – tak przynajmniej chcieliby to widzieć starsi, którzy przy każdej okazji robią do tego aluzje; pasterska młodzież sceptycznie ocenia widocznie swe szanse, skoro oddaje się piciu w zamkniętym, męskim towarzystwie.

Nie wszyscy zresztą odważą się na konfrontację oczekiwań z rzeczywistością. Nasz Kola z siódmego stada dobrowolnie został sam w pustym obozowisku. Wie, że świętowanie oznaczałoby bezustanne picie, przy czym każda kolejna butelka wódki będzie sprzedawana coraz drożej. Narobiłby długów, których nie ma jak spłacić z mizerniej pensji; a zresztą, od początku roku jeszcze jej nie wypłacano.

Jego koledzy ekscytują się udziałem w wyścigach reniferowych zaprzęgów. Tu naprawdę mogą i siebie pokazać, i na innych popatrzeć. Wskakiwanie na grzbiet rena wierzchowego, w mgnieniu oka, z wykorzystaniem pasterskiego kija jako podpórki, to prawdziwie cyrkowa sztuczka. Zawody obejmują kilka biegów na różnych dystansach i w różnych grupach wieku, widać więc, jaką rolę gra eksperienca: starzy prowadzą sanie dokładnie po szlaku, młodym reny uciekają na boki tak samo jak w tajdze. Najwięcej emocji budzi ostatni bieg, którego uczestnicy sami fundują nagrodę: zwycięzca zabiera renifery pokonanych. Tylko siedmiu pasterzy decyduje się na takie ryzyko, ale po aplauzie publiczności widać, że Ewenowie lubią hazard i doceniają śmiałków.

4.

Rozszczepienie pasterskiej kultury przebiega nie tylko po liniach codzienność – święto albo brygada – osada. Pewne treści przeniosły się jeszcze dalej, wywędrowały bowiem do miasta. Do nich należy szamanizm, którego próżno by szukać w tajdze. Pasterze pamiętają, który z ich przodków był szamanem, przestrzegają też przed żartowaniem lub niedowiarstwem w tej kwestii, przytaczając z respektem przykłady nadzwyczajnej a groźnej mocy jakiegoś dawnego szamana, ale nie stykają się z takimi praktykami osobiście.

Ostatni prawdziwy szaman eweński, Stiepan Spiridonowicz Kriwoszapkin nie zostawił następcy, ale przecież natura nie zniesie próżni; Ewenowie z Jakucka przyznali to miejsce pobratymcowi, Ewenkowi z Nieriungri, Siemionowi Stiepanowiczowi Wasiliewowi znanemu pod imieniem Sawieja. To pewnie rzeczywiście ostatni prawdziwy szaman ewenkijski, przynajmniej w Jakucji (pamiętajmy, że lud ten, choć o liczebności nieprzekraczającej kilkunastu tysięcy, żyje na całym ogromnym obszarze od Jeniseju po Ocean Spokojny). Zarówno jego asystentka, w średnim wieku kobieta o wymownym imieniu Oktiabrina, jak i uczeń Soduot to Jakuci. Ponoć on sam pytał duchy, czy są jeszcze w Jakucji szamani, a one odpowiedziały mu, że jest jedyny. Stosownie do tego utrzymuje się zapotrzebowanie na jego praktyki wróżebne i lecznicze. Sawiej mieszka na prowincji, ale klientela jest przecież głównie w stolicy, więc i on, jak Mahomet do góry, musi czasem przyjechać do Jakucka.

Mamy szczęście. Nasz eweński przyjaciel, etnograf z Jakucka Anatolij Aleksiejew współpracuje z nim od dziesięciu lat, pełniąc funkcję organizatora jego wizyt w mieście. Tak się szczęśliwie składa, że właśnie będzie się odbywać leczenie. Anatolij ma też nadzieję, że w trakcie seansu pojawią się tajemnicze ognie, jakie od kilku lat ujawniają się na fotografiach, które Sawiej pozwala mu robić w czasie seansu.

Jest późny wieczór, ale jeszcze nie ciemno, bo w marcu zmrok zapadnie dopiero po dziewiętej. Stary, parterowy dom przy ulicy Ojuńskiego, jednej z głównych ulic Jakucka. Pokrzywiony jak wszystkie tu budynki drewniane od ruchów płytkiej warstwy ziemi na wiecznej zmarzlinie. Wygódki i szopy na podwórku, ciasne dwupokojowe mieszkania w budynku. Wchodzimy przez kuchnię do pokoju stołowego. Na stole czeka obfity poczęstunek z przywiezionych ze wsi, z tajgi surowców: wędzone mięso rena, kielbasy, konfitury. Są i ryby w kilku postaciach, głównie nelma z Kołomy czy Indygirki (pobliska Lena w dobrą rybę nie obfituje, skażona pewnie nieczystością z kursujących po niej statków). Jemy zarówno soloną w dzwonkach, mniej smaczną, jak i największy przysmak Syberii, *stroganinę* – kawałki surowej, zamrożonej na kość ryby, strugane wzdłuż grzbietu w jego najlepszej części.

Szaman musi się najeść, bo czeka go daleka droga, a my jemy razem z nim, i w odróżnieniu od niego także pijemy – na etykietce ma to napis *Zołoto Jakutii*. Jest nas razem 17 osób (ktoś zwraca uwagę, że to dobrze – liczba nieparzysta), prawie same kobiety, z których połowę stanowią Jakutki, a drugą Rosjanki. Wszystkie miastowe, a jedna, ta najważniejsza, przyjechała nawet z Moskwy. Jest artystką estrady, ma stosowną tuszę i puszystą fryzurę blond. Skarży się na ciężkie nogi, to dla niej zorganizowany jest seans, z którego dobrodziejstw także i my będziemy mogli skorzystać. Sawiej wychodzi do pokoju obok, gdzie po kolei wchodzimy



Fot. 4 Topolinoje osada,
Fot. Lech Mróz



Fot. 5 Łagier,
Fot. Lech Mróz



Fot. 6 Galop,
Fot. Lech Mróz

Fot. 7 Ofiara ogniowi
na początek święta,
Fot. Lech Mróz



Fot. 8 Ubój rena,
Fot. Lech Mróz

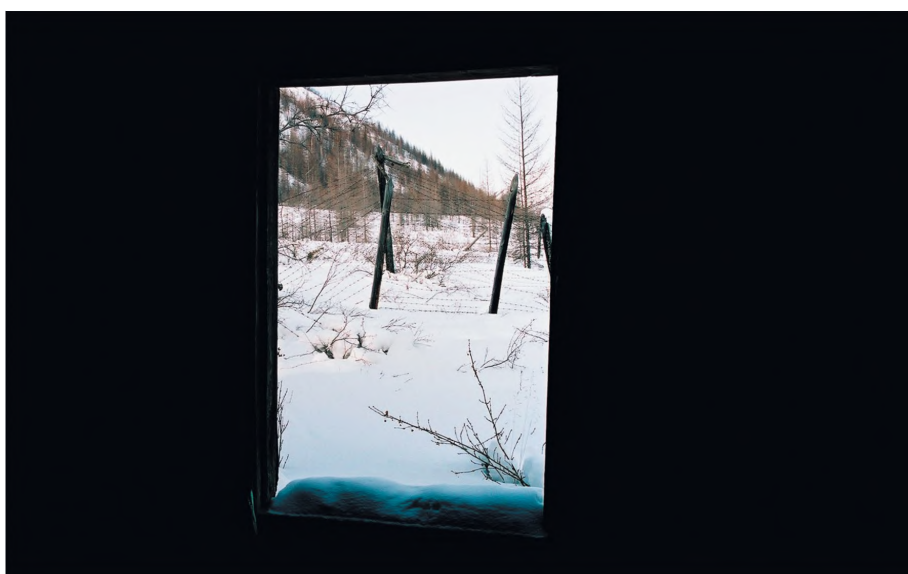


Fot. 9 Obozowisko, reny,
Fot. Lech Mróz





Fot. 10 Występy artystyczne,
Fot. Lech Mróz



Fot. 11 Łagier,
Fot. Lech Mróz



Fot. 12 Szaman, Fot. Lech Mróz

i przedstawiamy mu swe prośby; ja proszę o zdrowie dla mojej dwuletniej córki; szaman nie mówi po rosyjsku, więc jego pomocnica tłumaczy mu, że proszę o ochronę dziecka przed czarami i urocznym okiem.

Nareszcie zrobiło się ciemno, można zaczynać. Wynosimy do kuchni stół z jedzeniem, rozsiadamy się na podłodze i na krzesłach z rękami położonymi luźno na kolanach, trzymając je otwartymi dłońmi do góry. Szaman i jego pomocnica nakładają skórzane stroje, oba są obficie haftowane kolorową nicią, płaszcz Sawieja jest poobwieszany żelaznymi przywieszkami. Ona zapala w żelaznej miseczce ogień, a on to ziewa, to czka, i jeszcze łapczywie wypala papierosa.

Sawiej bierze do rąk bęben, który suszył się dotąd ponad płytkami kuchenki elektrycznej i zaczyna rytmiczne uderzenia w tempie ok. 120 na minutę. Nie przerwie ani nie zmieni tempa przez następną godzinę. Najpierw siedzi, po kwadransie pomocnica pomoże mu się podnieść, a on zaczyna niemrawy taniec z częstymi skłonami ciała do ziemi i rzadszymi półobrotami, czemu towarzyszy cichy, przerywany śpiew, a raczej zupełnie nieczytelne zawodzenie.

Zaczyna się faza wróżb: szaman rzuca pałkę od bębna kolejno ku każdemu z nas, a na podstawie tego, czy upadła ona właściwą stroną do góry, pomocnica orzeka, czy wróżba jest dobra czy zła. Może niewłaściwie to odczytuję, ale chyba pałka musi upaść przed każdym trzy razy z rzędu w pozycji „dobrze”, a to niełatwo używać, dlatego rzutów jest co najmniej kilkadziesiąt.

Teraz czas wziąć się do leczenia głównej chorej. Kładzie ona ręce na bębnie, a szaman i pomocnica białą szmatką zbierają z jej ciała choroby. Już po chwili mają ich materializację – pokazują brud na szmatce. Potem choroba z ciała zostanie wydobyta za pomocą bębna przeciąganego ponad ciałem – znów nabiera się w nim całkiem sporo jakiegoś śmiecia, które zostanie demonstracyjnie wysypane na szmatkę.

Minęła już godzina od początku seansu. Sawiej zdejmuję kolejno strój, nakrycie głowy i bęben, oddaje je chorej, która na kilka minut podejmuje szamanienie. Jeszcze kilka kobiet przejmuje rekwizyty, ich taniec jest momentami żywszy, a uderzenia w bęben energiczniejsze aniżeli u samego Sawieja. On zaś, zmęczony, siedzi w kącie, odpoczywając ze szmatą na głowie, która zakrywa mu oczy. Wreszcie wychodzi do pokoju obok, a razem z nim chora – pewnie opowie mu, tak jak to potem zadeklaruje nam, że od razu poczuła się lepiej, a szaman da jej jeszcze ostatnie wskazówki.

Znów zasiadamy do poczęstunku w kuchni; kobiety, zwłaszcza Rosjanki, są podekscytowane i rozradowane, Jakutki przeżywają to spokojniej. Wychodząc, żegnają się wylewnie, mówiąc nam, że choć zdawałoby się, iż spotkaliśmy się tu przypadkiem, to przecież w życiu nie ma przypadków, a wszystkim pokierował *Gospod*.

5.

Ale na najwyższe piętro wtajemniczenia wprowadza nas Anatolij. Otóż stanowczo zapewnia, że cały czas widział wspaniałe ognie. Jedna czy dwie osoby nieśmiało to potwierdzają; przypuszczam, że nazajutrz będą o tych ogniach z przekonaniem opowiadać...

Gdybyś chciał, łaskawy Czytelniku, wiedzieć, jak one wyglądały, nie pytaj o to sceptycznego zachodniego obserwatora. Sam spójrz na zdjęcia Anatolija, które ukazują dziwne złociste czy pomarańczowe smugi. Czasem wychodzą one szerokim płomieniem z szamańskiego bębna albo też z naczynia z rozpalonym na wstępie oczyszczającym ogniem, czasem przebiegają przez kadr wąskimi, zapętlonymi sznurami. Niekiedy towarzyszą im mroczne plamy, w których Anatolij dopatruje się to głowy niedźwiedzia, to ptaka, to ludzkiej dłoni. Wyjaśnia, że efekt pojawił się dopiero po latach jego współpracy z Sawiejem, pewnie też w związku z tym, że i sam szaman zdobył już wtedy większą moc – mógł docierać do dwunastego, a nie tylko do dwiętego nieba.

Szamańskie duchy-pomocnicy? Trajektorie sił samego szamana, jego mocy duchowej? Resztki tej energii, które zostały w przestrzeni po jakichś niegdyś żyjących ludziach, przywołanych w seansie? Obraz eweńskiej „gospodyni ogniska domowego”, *Tow muhonni*? Anatolij przyjmuje wszystkie te wyjaśnienia jednocześnie, a do tego zarzuca nas terminami i pojęciami, które same w sobie mają wszystko wyjaśnić: a to ciała astralnego, a to efektu Kirliana, falowo-korpuskularnej natury światła, strumieni elektronów, równań Maxwella i Heisenberga, jakieś przestrzeni Kozyriewa i równie dla mnie tajemniczej energii czasu. „Prawda jest wielowariantowa, a rzeczywistość objawia się w mirażach” – powtarza za którymś z rosyjskich ni to mistyków, ni to profesorów, których dzieła zapełniają dziś rosyjski rynek masowych czasopism i książek, docierając – jak to parę razy stwierdzałem w rozmowach w syberyjskiej głuszy – do bardzo szerokich kręgów odbiorców, głodnych, jak się okazuje, tych istic pankosmicznych wyjaśnień.

„Wielowariantowość prawdy” to sformułowanie, które bardzo odpowiada tricksterskiej naturze Anatolija. Ten Ewen z krwi i kości, niemłody, a późno przełancowany z tajgi na uniwersytet, o bogatym życiorysie, łączy w sobie zarówno dalekosiężne ambicje poznawcze, jak i fantastyczne poczucie humoru, dzięki któremu mistrzowsko posługuje się tzw. mową nienormatywną (a jak wiadomo, język rosyjski daje tu utalentowanemu rozmówcy niemałe możliwości). To poczucie humoru każe mu też mówić o sobie samym, stosując cytaty z Puszkina: „ja, Tunguz dziki”. Ma on też niewątpliwie ów spryt tubylca, co to chętnie wykołuje obcego (Jakuta, Rosjanina, Europejczyka), by wykazać mu – przy wszystkich swoich kompleksach i aspiracjach – wyż-



Fot. 13 Szaman i tricester, Fot. Lech Mróz

szłość własnej kultury. Czy nie postąpiłby on zatem tak samo jak szaman, który pokazuje ukryty wcześniej śmieć jako materializację wyciągniętej właśnie choroby, a jednocześnie wierzy w prawdziwość swych działań?

Oglądam negatywy zdjęć i widzę te same co na odbitkach smugi. Nie jestem specjalistą od fotograficznych trików, nie potrafię tych efektów przekonująco objaśnić i zdyskwalifikować. Pytani o to praktycy nie umieli mi dotąd pomóc – stale czekam na bardziej kompetentne opinie. Wykluczmy, czytelniku, takie czynniki jak zleżała błona albo defekt przesłony czy lampy: na jednej i tej samej kliszy ognie pojawiają się tylko na zdjęciach szamana i jego akcesoriów, z lampą i bez, także bez związku z ewentualnym źródłem światła w kadrze. Skądinąd, dokumentacja opisanego wyżej seansu z naszym udziałem, robiona przez mego ekspedycyjnego kolegę, nie ujawnia ognia, a przecież na fotografiach Anatolija są one widoczne nawet wtedy, gdy to my, widzowie, zaczynamy szamański taniec.



Fot. 15 Szaman i duchy, Fot. Anatolij Aleksiejew



Fot. 14 Portret, Fot. Lech Mróz

Może zatem same negatywy zostały już poddane montażowi i skopiowane? Ale byłby to trochę zbyt czyny, nadmierny trud. Skądinąd, identyczny efekt widnieje na zdjęciu szamanów nepalskich, opublikowanym – z wcale nie sceptycznym komentarzem – przez Piersa Vitebsky'ego w jego popularnej książce *Szaman* (trzeba też pamiętać, że Anatolij towarzyszył przez lata Piersowi w jego wyprawach do Ewenów).¹ Słyszałem też o podobnym przypadku od godnego zaufania kolegi robiącego zdjęcia tybetańskich ceremonii mistycznych *cam*. Na dodatek, kiedy w Jakucji pokazywano mi pamiątkowe zdjęcia z obchodów początków lata, organizowanych przez newage'owe grupki nawiedzonych, a na tych zwykłych polaroidowych fotkach widać było niekiedy jakieś małe, złociste plamki, to uczestnicy interpretowali to jako zapis manifestującej się wtedy mocy.

Co ma zatem zrobić z ognistymi zdjęciami mój racjonalny umysł? Pewnie muszę sobie powiedzieć, że płomienne emanacje to coś, co funkcjonuje dużo powyżej moich potrzeb psychicznych czy duchowych, że mogą je zostawić w tamtej wysokiej sferze nieba, gdzie docierają tylko najwięksi szamani, a razem z nimi także najlepsi tricksterzy.

Przypisy

- ¹ P. Vitebsky, *Reindeer People. Living with animals and spirits in Siberia*, London 2005; tenże, *Szaman*, Warszawa 1996



Fot. 16 Szaman i duchy, Fot. Anatolij Aleksiejew